

A Danuta Nieruchaj zam. we Wrocławiu przy ul. Kotlarskiej 8 m. 14

Nazywam się Danuta Nieruchaj z domu Kazaryn ur. w 1938 roku. Mieszkałam we wsi Jatwieś, pow. augustowskiego, woj. białostockiego, położonej nad Niemnem, gdzie wpada rzeka Czarna Hańcza. Ojciec nazywał się Piotr, matka Józefa. Byli rolnikami. Mieli gospodarstwo o pow. około 20 ha ziemi ornej, lasu, łąki i pasiekę. Mieszkaliśmy na kolonii. Gospodarstwo to kupił dziadek po powrocie z Ameryki, gdzie dorobił się pracując w kopalni.

Do czasu wywiezienia chodziłam do szkoły podstawowej.

W 1945 roku ojca zamknęli do więzienia. Zostali dziadkowie, mama i dzieci. Ogłosili nas za kułaków. Po parę razy do roku przyjeżdżali do nas i zabierali część dobytku.

W 1951 roku dziadka zamknęli do więzienia. Gospodarstwo prowadziła mama. Babcia była chora.

Ojciec został aresztowany jako szpieg amerykański, gdyż jako urodzony w Stanach Zjednoczonych miał amerykańskie obywatelstwo.

Wtedy wielki aresztowanie z naszych stron. W naszych stronach działała partyzantka antyradziecka. Ojca skazali na 10 lat więzienia. Matki nie wpuścili na rozprawę. Ojca widziała, gdy go prowadzili na rozprawę. Miał jeszcze wtedy czarne włosy. Po rozprawie także widziała go w przejściu. Wtedy miał już siwe włosy.

W ciągu jednej nocy osiwiiał i wyglądał jak staruszek.

Początkowo przebywał w mieście Uchta na Uralu. Tam pracował w kopalni. Mieszkali w barakach. Gdy umierał któryś z więźniów - jego koledzy nawet do 10 dni nie zgłaszali tego władzom obozowym żeby otrzymywać jego przydział żywności, po rosyjsku "pajok". Potem zmienili mu kwalifikację na akowską, do której rzeczywiście należał podczas wojny. Wtedy przewieźli go do Karagandy w Kazachstanie.

2 Tam pracował na budowie i powodziło mu się nieco lepiej. Mimo, że przebywaliśmy na zesłaniu niedaleko to nie pozwolili mu przyjechać do nas. Z zasądzonych 10 lat odsiedział prawie cały wyrok. Potem jego winę uznali za niebyłą. Nie dali mu żadnych dokumentów z pobytu w łagrze. Podczas pobytu w łagrze wolno mu było, rzadko pisać i otrzymywać listy, zdjęcie a nawet paczki, pod warunkiem że były w drewnianej skrzynce. Wolno było wysłać tylko określoną, niewielką ilość paczek. Chorował na szkorbut. Stracił część zębów. Do kraju wrócił wcześniej od nas bo już w 1955 roku, do Wrocławia.

NKWD albo jego odpowiednik przyjechało po nas 18 kwietnia 1952 roku. Było to w nocy. Mama, gdy zobaczyła samochód, domyśliła się, że przyjechali po nas i uciekła z domu licząc na to, że samych dzieci nie wywożą. Babcia i ja oraz dwie siostry w wieku 7 i 9 lat

pozostałyśmy. Starsza siostra była wówczas w mieście w szpitalu. Najpierw zapytali o mamę. Powiedziałam, że pojechała do siostry do miasta. Wtedy powiedzieli, że gdy zabiorą szczeniętą to suka przyjdzie sama. Odczytali wyrok skazujący nas na wywiezienie. Kazali nam ubierać się. Zabrałam się do pakowania i ubierania młodszego rodzeństwa. Starłam się ubierać je grubo bo wiedziałam, że gdy w 1940 roku wywozili krewnych to pozwolili zabrać im tylko to, co mieli na sobie. Enkawudyści byli na tyle ludzcy, że pozwolili mi zabrać wszystko, co zdołałam. Wzięłam dwa worki ziarna, dwa ziemniaków, część niedawno zabitego wieprzka przechowywanego w rosolu. Miałam wtedy zaledwie 14 lat, zatem niewiele mogłam zabrać. Dom był dokładnie obstawiony dookoła. Żołnierze byli uzbrojeni w broń z bagnietami. Nikogo nie wpuszczali z zewnątrz. Tylko brat mamy jakoś uprosił ich i pozwolili mu pomóc mi w pakowaniu się. W międzyczasie przywieźli ze szpitala starszą siostrę. Już rozwidniało się, gdy nas zakładowali na samochód. Wtedy przybiegła matka, bo zdała sobie sprawę, że wywożą nas bez niej.

3 Nie zdążyliśmy odjechać z miejsca, gdy już przyszli pozabijać okna w naszym domu. Potem dowiedzieliśmy się, że rozebrali najpierw dom a następnie resztę zabudowań żeby po nas ślad nie pozostał. Pasiekę zabrali.

Najpierw zawieźli nas do miasteczka Sopotkinie oddalonego o 8 km. Zaprowadzili do NKWD i zażądali byśmy podpisały, że wyjeżdżamy dobrowolnie. Gdy odmawiałyśmy to nas traktowali brutalnie, popychali. Ja podpisałam, bo zdałam sobie sprawę, że tak czy inaczej wywożą. Matka i siostra nie podpisały co ich zresztą nie uchroniło przed wywiezieniem.

Z naszej wsi wywieźli trzy rodziny uznane za kułackie. Tych, których uznali za przestępców politycznych wywieźli zaraz po wojnie. Potem zawieźli nas do Grodna oddalonego o 17 km. Zakładowali do wagonów bydzących po 10-11 rodzin. Drzwi wagonu były okratowane drutem. W wagonie nie było ustępu, tylko otwór w podłodze, które to miejsce zawiesiliśmy prześcieradłem. Był to zaimprovizowany ustęp. Przez cały dzień dowozili nowych ludzi. Podobno pociąg wiozł 800 rodzin. Były to straszne godziny, zwłaszcza nocne. Słychać było tylko płacz, jęk, śpiewanie piosenki "Serdeczna matko". Rano ciągle jeszcze staliśmy na miejscu. Trwało to trzy doby. Dopiero potem pociąg ruszył na wschód.

Wieźli nas bardzo długo. W nocy o godzinie 3-4 zatrzymywali na stacji, pozwalali nam wyjść z wagonu po wrzątek t.zw. "kipiatok". Dawali chleb, nie pamiętam po ile. W wagonie było bardzo ciasno. Było stłoczonych po 50 osób oraz nasz dobytek. Moja babcia została dostarczona do wagonu na noszach. Siostra była tak bardzo chora, że powiedzieli, że nie przeżyje tej podróży, umrze.

Po chleb ja wychodziłam w nocy. Nie pozwalali mi bo byłam niska, ale okłamywałam konwojentów, że jestem straszna niż wyglądam. Muszę dźwigać na plecach po 30 kg chleba. Trzeba było przeczołgiwać się na kolanach pod wagonami. Także wrzątek przenoszono w ten sposób. Po prowiant wolno było chodzić tylko kobietom i dzieciom. Mężczyznom nie bo konwojenci bali się, że uciekną. Dopiero 3 maja dojechalismy do miasta Kyzyk-Arda w Kazachstanie. Wtedy po raz pierwszy pozwolili wyjść mężczyznom. Dookoła jak oliem sięgną ściągał się step. Robiło to straszne wrażenie. Ludzie płakali. Nie wolno nam było nigdzie oddalać się. Czuł było ostry zapach chloru, którym woda tak bardzo zalaatywała, że nie nadawała się do picia. Żywiliśmy się głównie tym co przywieźliśmy. Trochę nam też dawali. Szczęśliwie okazało się, że o dziwo, moja siostra nie umarła.

Gdy dojechalismy na miejsce to już mogła stać na nogach. Podczas podróży przechorowała się jeszcze na zapalenie płuc. Także w nocy zawieźli nas do stacji Syr-Daria. Robili to w nocy chyba dlatego żeby inni nie widzieli nas. Przystąpili do rozładowywania wagonów. Ładowali po 2-3 rodziny na ciężarówkę. Były one tak wysoko załadowane, że dzieci siedzące na wierzchu nie dotykały kabiny nogami. Wieźli nas przez step wyboistymi drogami. Gdzieś tam tylko rosły wierzby. Byliśmy też wystraszeni, że gdy poprzednia ciężarówka zniknęła za wierzbami, to zdawało się nam, że samochód runął w przepaść. Było to straszne. Ludzie płakali bo myśleli, że chcą nas zabić w ten sposób.

Zawieźli nas do miejscowości oddalonej o 20 km, do biura kołchozowego, które mieściło się w lepience trochę wyższej od innych, mieszkalnych. Tu nas wyładowali. W tym czasie akurat padał potworny deszcz, co tam niezmiernie rzadko zdarza się. Deszcz padał przez dwie doby. Przyjeżdżali tu brygadziści z kołchozów. Byli na koniach, w turbanach na głowie, z biczami w rękach. Wyglądali potwornie. Przyjeżdżali w celu zabrania siły roboczej do swoich kołchozów. W pierwszej kolejności zabierali rodziny, w których przeważali dorośli. Natomiast rodziny z małymi dziećmi pomijali.

Naszej rodziny nikt nie chciał. Na szczęście znalazł się jeden brygadziści, który podczas wojny walczył w Grodnie. On ulitował się nad matkami z małymi dziećmi i zabrał ze sobą kilka takich rodzin. Pragnę nadmienić, że mężczyzn w sile wieku nie było wśród nas. Ci przeważnie siedzieli w zagrach. Zawieźli nas do miejscowości oddalonej o 3 km od kołchozu imieniem Dwadcać Let Kazachstana w rejonie ilczewskim, oblasti południowokazachstańskiej. Ulokowali nas w półmieszczczeniu, z którego wypędzili osła, wymietli nawóz. Nie było tam drzwi ni okna. Było to potworne. Szakale podchodziły pod sam dom i wyły podobnie do płaczu małych dzieci.

Siedzieliśmy w jednym z trzech posiadanych przez kolchoz "zuczastków", który nazywał się Progress.

Uprawiali tam głównie bawełnę. Pola nawadniano sztucznie. Praca przy bawełnie zaczynała się już wstyczni. Najpierw wyrównywaliśmy ziemię dużymi motykami. Ważyły one około 5 kg i nazywały się "czikmeny". Potem podczas nawadniania wodę z dużych kanałów wpuszczano do małych nazywanych "arykami". Ziemia, gdy wyszła była twarda jak skała i pękała. Upały były potworne. Ludzie starzy i małe dzieci wymarły. Moja babcia także umarła. Temperatura dochodziła do 50 stopni, dlatego w pierwszym roku pobytu pracowaliśmy tylko wcześniej rano i wieczorem, gdy było chłodniej. Praca była przeważnie przy bawełnie. Po zasianiu przeważnie hakaliśmy ją. Krzaki bawełny wyglądają jak pomidory. Potem kwitną i następnie rosną szyszki podobne do owoców kasztanu. Wreszcie wychodzi takie coś białe, bardzo kłujące. Jesienią zbieraliśmy bawełnę, wyciągaliśmy tę watę z ziarnami.

W tym czasie przechorowałam się na malarię. Była to straszna choroba. Mieszkaliśmy w lepiankach zbudowanych z dużych cegieł wykonanych z ziemi ulepionej. Robiliśmy foremki i w nich cegły. Zajmowali się tą pracą starsi mężczyźni. Młodzi wtedy siedzieli w zagrach. Domy miały ściany wykonane z tych cegieł a stropy były wykonane z gałęzi wierzbowych tylko częściowo zalepionych gliną.

Babcia przez cały czas chorowała, leżała na narach. W tych gałęziach na stropie gnieździły się różne gady. Kiedyś wąż spadł babci na pierś. Przez to babci pogorszyło się zdrowie i wkrótce umarła. Gadów tam było zatrzęsienie. Nieraz zdarzało się pośliznąć się na czymś. Okazywało się, że to był wąż. Na szczęście nie były jadowite. Były też węże dusiciele. Kiedyś podczas prania w kanale owinął się dokoła mnie gruby wąż i dusił mnie. Był tak gruby, że nie mogłam obchwycić go ręką. Ludzie, którzy byli obok mnie nie mogli pomóc bo węża w takich okolicznościach nie można odrywać, gdyż udusił by. Myślę, że uratowało mnie to, że wąż płynął pod prąd. Dzięki temu mogłam oderwać go od siebie. Było to straszne przeżycie. Nasz przez dwa tygodnie bali się o mnie, że zwariuję. W mieszkaniach wszędzie było pełno węży. Kiedyś, gdy szłam do pracy nadepnęłam na coś śliskiego. Okazało się, że to była skóra z węża. Węże miały przeważnie metr-półtora długości.

Nie było żadnej studni. Wodę mętną braliśmy z kanału do nawadniania i piliśmy. Czasem po dłuższym czasie pobierania wody okazywało się, że lażą tam zwłoki człowieka lub psa. To cud, że nikt nie umarł od tej wody.

Cybleba nie mieliśmy wogóle. Piekliśmy "lepioszki", placki kukurydzyk dziane. Na początku dawali nam co siedem-osiem dni trochę jakiegoś

ziarna. Co tydzień musieliśmy meldować się w milicji, czy nie uciekliśmy. Wprawdzie to miejsce, gdzie przebywaliśmy nie było więzieniem, ale nie byliśmy też na wolności. W niedziele też zmuszono nas do pracy. Nie zgadzaliśmy się na to. Wtedy nas bili. Kto to postawiliśmy na swoim.

W tym koczowniczym obozie byli jeszcze na przykład Niemcy, Azerowie, Grecy, Czecczełcy. Rosjan było bardzo mało. Przeważali Kazachowie. Nie byli złi, byli gościnni. Często nam pomagali, dawali nam coś z żywności. Najgorsi byli funkcjonariusze koczowniczy. Czasami nas bili, gdy kto nie wykonał wyznaczonej pracy, jak choćby kobiety z małymi dziećmi. My jednak nie dawaliśmy się im bić. Ja mając czternaście lat dzielnie stawiałam się im. Natomiast moja starsza siostra była ~~szlachetna~~ wstydliwa i bała się ich. Budynek, w którym mieszkaliśmy to był barak wykonany z bloków wykonanych z ziemni. Składał się z kilku pokoi o pow. 10-12 m², bez sieni. Początkowo Polacy byli porozrzucani po różnych barakach. Potem skupiliśmy się w większych barakach. Pokój był zabudowany głównie narazmi. Stoku nie było. U nas zastępowała go przywieziona przez nas drewno do rozczywania ciasta, odwrócone dnem do góry. W takim pokoju mieszkała jedna rodzina. Mamy służyły do spania.

Początkowo mama dawała nam dzieciom jedzenie w jednej dużej misce. Ja byłam najsilniejsza więc objadałam rodzeństwo. Potem mama wydzielala mnie jedzenie oddzielnie, żeby było po równu. Jadka bowiem nie było tyle żeby można było najeść się do syta. Cispośród nas, którzy pracowali, dostawali więcej żywności. Strawę gotowaliśmy na dworze, na wykonanych przez nas prymitywnych paleniskach. Paliliśmy wysuszoną leśną lub bylinnymi bawełny. Zapas opału gromadziliśmy w stowachu na ziemi. Deszczem nie padały, natomiast przez dwie zimy padało trochę śniegu i było może ze dwa stopnie mrozu. Na ziemi palenisko robiliśmy w mieszkaniu. Mrozy, na szczęście, trwały tylko po parę dni. W mieszkaniu nie było drzwi to nam wydawało się, że jest bardzo zimno.

W koczowniczym tym mieszkaniu ze dwa tysiące ludzi. Kazachowie ani jedli, ani ubierali się lepiej od nas. Jedli przeważnie "lepieszki". Jedynie podczas ich świąt np. obrzezania zabijali barana i mieli wtedy mięso. Niektórzy mieli po kilkanaście żon, byli bogaci. Tym podobnie się lepiej. Nas nie stało było na kupowanie mięsa.

Po dwóch latach przyjeżdżali do nas do pracy w koczowniczym studenci. Wtedy ułatwiano dla nas pieczenie chleba dla studentów. Przy tej okazji mieliśmy trochę chleba dla siebie. Kazachowie byli tak ciemi, że nie wiedzieli o przypieku t.j. przyroście wagi wypieczonego chleba w stosunku do użytej mąki. Jeśli trzeba

ceś kupić albo załatwić w biurze to wolna było nam iść w nocy, gdy nie było pracy. Sklep był w sąsiedniej wiosce oddalonej o 3 km. Musieliśmy tam chodzić po parę osób, gdyż Czeccenci napadali, rabowali, gwałcili. W żadnym wypadku pojedynczo.

Niektórzy pracowali przy winogronach. Tym powodziło się nieco lepiej. Siialiśmy także pszenicę, buraki, kawony, i dynie. Dopiero Polacy i inni zesłańcy wprowadzili uprawę tych roślin. Kazachowie nie znali tych upraw.

Za naszą pracę dawali nam trochę ziarna co dziesięć dni a jeśli kołchoz wykonał plan to dostawialiśmy więcej ziarna, może worek. Z czasem dorobiliśmy się działki, hodowaliśmy kury a nawet świnie. Tylko nie bardzo było czym je karmić. Na działce bardzo dobrze rosły pomidory. Były bardzo słodkie, może dlatego, że było bardzo ciepło. Siialiśmy też kukurydzę. Ziemiaki tam nie rosły. Czerwone buraki też były bardzo słodkie, jak cukrowe. Kukurydzę woziliśmy do młyna. Tam pracowali Polacy. Nasze uprawy działkowe trzeba było saletować. Saletry nie było za co kupić. Wobec tego kraśliśmy ją w kołchozie. Któż w nocy musiałem na piecach dzwagać do 30 kg, na kolanach żeby nikt nie widział. Po takiej wędrówce plecy były całe czarne. Przydziały żywności za pracę nie były dawane regularnie. Nie było komu poskarżyć się. Potem w czasie wolnym od pracy pomagałam sklepowemu za co otrzymywałam chleb albo inne artykuły żywnościowe. Trzeba było zabiegać o żywność na różne sposoby.

Obok mieszkań Niemka wywieziona już dawno. Miała krowy i była lepiej zagospodarowana. Była życzliwa nam. Gdy narwaliśmy chwastów dla jej krów to dawała nam za to coś do jedzenia, mleko. Moja młodsza siostra już od dwunastego roku życia służyła u Niemców w mieście, sprzątała, gotowała obiady. Młodsze siostry pracowały lub uczyły się. Mama początkowo nie mogła pracować bo musiała siedzieć przy chorej babci. Dopiero po jej śmierci mogła pójść do pracy. W tym kołchozie byli Polacy wszyscy z naszych stron, z naszego transportu. Polacy żyli zgodnie ze sobą. Zesłani innych narodowości też na ogół byli życzliwi nam. Wywalczyliśmy dla siebie wolne niedziele. Wtedy zbieraliśmy się w jednym mieszkaniu na modlitwy.

W maju było to majowe nabożeństwo. Księżna nie było wśród nas. Modlitwy prowadził starszy pan. Po wyjściu z modlitwy śpiewaliśmy piosenkę o przypuszczalnej treści:

"rozwalił się Stalin świnia na polskiej krainie,
iść precz stąd Stalinie ty pogańska duszo,
jak przyjedzie pałk grodzieński
na pył cię rozkruszy."

Funkcyjny rozpędzał nas bo nie wolno było gromadzić się i pytać, co to zapiosenka. Ten pan wyjaśniał, że to religijna pieśń.

Po śmierci Stalina przez trzy doby padał deszcz, który tam rzadko pada. Lepianki nam potwornie pozozmakaly. Wszystko waliło się.

Spśród około 50 Polaków, którzy mieszkali w tym kołchozie zmarło kilka osób, głównie małe dzieci i ludzie starsi. Natomiast często chorowaliśmy. Z naszego rodzeństwa dwie chorowały na malarie a jedna na nerki. Byliśmy już na wyłączeniu ale wyszliśmy z tych chorób. Najbliższy lekarz był oddalony o 30 km. W razie choroby tam trzeba było jechać albo iść. Tam też była apteka, w której zresztą z leków była tylko chinina. Leczyliśmy się własnym przemysłem.

10 Jajka zniesione przez nasze kury nie mogły być zjedzone - trzeba je było sprzedać w mieście żeby kupić chleba, żaju bo tylko taki tłuszcz był dostępny. Na słoninę nie było nas stać. Także świnie wyhodowanej przez nas nie mogliśmy zjeść sami, gdyż potrzebne były pieniądze na zakup żywności, odzieży czy butów. Nie każdy miał przyzwoite buty. Gdy szliśmy do miasta to na bosaka a buty wkładaliśmy przed miastem. Do miasta trzeba było onodzić pieszo bo nie było żadnej komunikacji. Ubieraliśmy się przeważnie w odzież przywiezioną z domu. Nawet część odzieży oraz poduszki trzeba było sprzedać by zdobyć trochę pieniędzy na opłacenie podróży do kraju. Wprawdzie w mieście można było kupić materiał na odzież ale nie stać nas było na ten wydatek. Odzież szyłam ręcznie w domu.

Podczas pobytu na zesłaniu wolno było pisać listy do stron rodzinnych. Z kolei krewni przysyłali nam paczki, głównie z żywnością. Paczek mało otrzymywaliśmy bo nasi krewni byli w znacznym stopniu pozbawieni dobytku. Najczęściej przysyłała siostra. Listy do nas były oczywiście cenzurowane i szły co najwyżej miesiąc. Filmowali nas cały czas. Nie wolno było oddalać się dalej jak do powiatowego miasta. Niektórzy starali się uciec ale to nie było łatwe.

Ciocia mieszkająca we Wrocławiu od 1955 roku czyniła starania o sprowadzenie nas do kraju. Irzysłała do nas zaproszenie po rosyjsku t.zw. "wyzow" ale tamtejsze władze zatrzymały nas. Tak przez rok czyniliśmy starania o zezwolenie na powrót. Potem zezwolono nam na powrót ale nie dali pieniędzy na opłacenie przejazdu. Wobec tego sprzedaliśmy wszystko co dało się sprzedać. Pragnę zaznaczyć, że nie wolno nam było wracać w rodzinne strony. Powiedzieli, że możemy wrócić albo do Polski albo zostać na miejscu. Podczas pobytu w Kazachstanie nikt nas nie odwiedził, nawet ojciec, który był niedaleko na zesłaniu. W tym czasie żadne władze polskie nie interesowały się nami.

11 Do kraju wracaliśmy wagonem towarowym. Szesć rodzin złożyło się na opłacenie wagonu. Bagazy tym razem nie mieliśmy żadnych. Podróż trwała też długo. Nasz wagon doczepiali do pociągów, podwozili do jakiejś stacji i odczepiali. Czekaliśmy wtedy na podczepienie do następnego pociągu. Wtedy dawaliśmy karpówkę władzom kolejowym i doczepiali nas do następnego pociągu. Jechaliśmy ponad dwa tygodnie. Najpierw przyjechaliśmy do Grobanowa kprto Białej Podlaski. Wyszłam na peron bosa, ubrana w kachmany. Szczęśliwym trafem spotkałam na peronie siostrę mamę, która jechała do Grodna. Dała mi buty i sukienkę, żeby ubrać się. Starsza siostra była już zamężna i stamtąd pojechała do Augustowa, gdzie mieszkała rodzina jej męża. Do Wrocławia przyjechałam z siostrą Małą jakopierwsza, przed resztą rodziny, pociągiem osobowym. Mama i reszta rodzeństwa przyjechali do Wrocławia po ośmiu dniach.

We Wrocławiu ojciec mieszkał u jego teściowej na ul. Kamińskiego. Rodzina mamy też mieszkała we Wrocławiu. Musieliśmy jechać do Wrocławia bo zaproszenie mieliśmy do tego miasta. Przyjechaliśmy do rodziny mamy. Zamieszkaliśmy u cioci na ul. Kamińskiego.

W następnym roku była repatriacja na masową skalę i zaproszenia nie były już potrzebne. w Białej Podlaskie otrzymaliśmy po tysiąc złotych zapomogi i już mieliśmy pieniądze. U cioci było ciasno, wobec czego skorzystaliśmy z okazji, gdy jedna wdówka wyjeżdżała do Izraela i zostawiła mieszkanie. Sprowadziliśmy się tam na ul. Chudoby. Byliśmy zadowoleni z tego mieszkania i nie staraliśmy się o większe. Potem władze rzekłowej inicjatywy, bez starań z naszej strony przydzieliły nam mieszkanie trzypokojowe z kuchnią na ul. Mikołaja. Mieszkanie było wygodne, w starym budownictwie. Ja już 1 października poszłam do pracy w wytwórni ordów

choiakowych przy ul. Chrobrego. Następnie skończyłam kurs gastronomiczny i od 1957 roku pracowałam w restauracji WARS na Dworcu Głównym do 1.12.1990 roku, kiedy to przeszkłam na emeryturę. Teraz jestem wdową, mam niską emeryturę i rentę po mężu. Utrzymuję za/te pieniądze syna i córkę, którzy uczą się jeszcze w szkołach średnich.

Zarejestrowała i przepis. z Edward Kruk.